

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy A Numeru: *Demonomania, nauka nadziemskiej mądrości p. Br. Trentowskiego.* — Spis dzieł wysłanych w W. X. Poznańskim w roku 1843. przez Z. — Nowiny Lit. z Warszawy.

Demonomania

czyli

Nauka nadziemskiej mądrości w najnowszej postaci

przez

Br. Trentowskiego.

Ter quaterque beatum genus humanum, quod unamquamque cupide et hilariter appetit stultitiam. —

(Ciąg dalszy.)

Po trzech latach przyszedł do domu szczęśliwych małżonków, jakiś mąż cudzy i nieznanym, z wysokim, jak się zdawało, wykształceniem. Ten wysłuchawszy cierpliwie całej niniejszej powieści, rzekł w końcu: „Elza, która Ci się objawiała i dotąd objawia, jest własnym twym życiem wewnętrznym, istotą twą niewidzialną, nadziemską i boską. Jażn twa ubrała się w twym sercu w postać kochanki, i wyszedłszy z Ciebie, stanęła przed Tobą. Wyszła z Ciebie dla

tęgo, żeś rozdzielił się sam z sobą, to jest: że byłeś li człowiekiem zewnętrznym na okręcie, a człowiekiem wewnętrznym, czyli rzeczywistym przy twój Ulubionej. Ona jest świętym piersi twój rdzeniem w szacie pierwiastkowej miłości; jest technieniem Bżem, żyjącem w Tobie, lecz uprzedmiotowiającem się przed Tobą, abys je bliżej poznał. Oko twe niecielesne roztworzyła nadziemska, czysta miłość i ujrzałeś własne sumienie w kształcie Błogosławionych. Bądź wierny tój Niebiance i słuchaj zawsze jój głosu, bo w niej, czego żaden filozof niepotrafi, zdołałeś odrodzić się lepszym, prawdziwym żywotem, i znaleźć samego siebie w czystości takiej, jaką odznaczałeś się przed urodzeniem i tronem Boga. Rady postaci tój są święte, oddala tak od Ciebie, jako i rzeczywistej Elzy wszelkie nieszczęście, a na tamtym świecie przygotowują wam rokosze zbawienia.“ — Wipner rzekł na to: „Co mówisz, Panie, zdaje się być niepodobieństwem, gdyż istota, jażn moja, choćby i w postaci niebiańskiej Elzy przedemną stojąca, niemogłaby mi przepowiadać przyszłości, skoro

niejestem prorokiem.“ — Odpowiedział mąż obcy na to: „Czyliż istota, jażn twa niejest w gruncie samym boską, a występując, jako bóstwo w swej czystości, niezdola nabrać natury proroczej? Kto uczuł się po bosku sam sobą i uwierzył głęboko w nieśmiertelność, widzi przyszłość równie wyraźnie, jak przeszłość i teraźniejszość. Bóstwo niejest przykute do płynącej kropli czasu, lecz przegląda całą wieczność. Byłeś i jesteś prorokiem, lecz brakło Ci przeświadczenia w twem wnętrzu. Przeświadczenie to wyszło więc s Ciebie na zewnątrz i w twem miejscu prorokuje cudowna Elza. Całe to zdarzenie jest naturą, lecz lepiej niż zwykle pojętą. Ty ją pojmiesz, bo w niej już żyjesz.“

Wipner rozmyślając te słowa, ciekawy był, kto jest ów mąż obcy. Udał się do gospody, w której gość nocował, i znalazł w liczbie przejeżdżających imię: Mohrland, nadgórnik z Niemiec.

2. Sobowtór.

Sobowtórem zowie się po polsku to, co po niemiecku Doppelgänger, t. j. druga osoba nasza własna za nami, lub obok nas chodząca, my sami we wtórem sobie, czyli Dwaraży jeden. Mieć sobowtóra, t. j. widzieć samego siebie za sobą, jakby we zwierciadle, choć bez zwierciadła, znaczyło od wieków przepowiednią zbliżającą się śmierci, lub inne jakie wielkie nieszczęście.

Von Haerdteck, kapitan 6. pułku piechoty w jednym królestwie niemieckim, dożył osobliwego zjawiska, które opowiedzieć jest właśnie naszym zamiarem. Rodzice oddali go małym chłopcem do szkoły Kadetów, niezważając bynajmniej na to, iż żadnej ochoty nieokazywał do wojskowego stanu. Uczył się pilnie, bo wola ojcowska była mu święta. Wszedłszy do pułku, wypełniał obowiązki swe s całą sumiennością. To, tudzież wpływ możnych rodziców, było powodem, iż go wcześniej posuwano ze

stopnia na stopień. Jako kapitan dojrzał nareszcie wiekiem zupełnie, i zostawszy mężem, poczuł swą samodzielność. Teraz przekonał się, że do stanu wojskowego niema najmniejszego powołania. I nie żart to dla tego, co chciałby być sam sobie celem i tworzyć dla siebie świat udzielny, zostać li jednym ogniwem w wielkiej wojskowej machinie. Święty stan żołnierza śród wojny, lecz pod czas pokoju!.... Kapitan dręczył się szczególnie następną myślą: „Trudna, niemal niepodobna jest, mówić, zjednoczenie właściwego człowieka z żołnierzem. Człowiek właściwy goni za istotą rzeczy, żołnierz zaś gubi istotę, i musi widzieć w czczej formie świętość. Człowiek właściwy uznaje nieraz oczywistą niesłusznosc i serce mu pęka z litości lub oburzenia; lecz jako żołnierz powinien, skoro mu rokazano, niesłusznosci tej dokonać, gdyż rokaz jest dla niego najwyższą słusnością, a posłuszeństwo najpierwszym obowiązkiem. Człowiek pragnie walczyć za ludzkość, wolność i prawo, a żołnierzowi rokazują zbyt często nabijać karabin, przeciw ich obroncom. O, jakże chętnie dla właściwego człowieka we mnie rostałbym się z żołnierzem! Ale, cóż będę robił? Oprócz żołnierki, niczego mię nienauczono, a więc niejestem do żadnego innego stanu usposobion.“ — Kapitan nasz czuł się bardzo nieszczęśliwym. Przyjaciół jego pułkownik radził mu wejść w związek małżeński, utrzymując, iż kobieta, której się mundur officerski zazwyczaj podoba, wybije mu te skrupuły z głowy. Jakoż kapitan posłuchał rady, znalazł odpowiednią sobie pannę i podał prozbę do Króla o pozwolenie zaślubin.

Kapitan, jak gorliwym był w służbie swój żołnierzem, tak troskliwie pielegnował w sobie właściwego człowieka. To rozdierało go we dwa sprzeczne kierunki, których pogodzić nieumiał. Walka wewnętrzna srożyła się w jego piersi codzien nieznośniej. Od pewnego czasu czuć wreszcie zaczął jakieś konwulsyjne drgania w swem ciele i w głowie. „Co to ma

znaczyć? mówił. Czyli me szperania szkodzą zdrowiu, lub zagrażają rozumowi obłąkaniem? „Uważał bacznie na stan zdrowia i głowy, lecz znalazł go za każdym razem normalnym. Atoli owe konwulsyjne drgania ustąpić niechciały.

Jednego razu, siedząc zmrokiem w kwatrze, uczuł konwulsyjne poruszenia, jednakże, — rzecz osobliwa, — nie w sobie samym, jak dawniej, lecz za sobą, a to po prawej stronie swjej osoby. Co raz to bardziej czuje, że się coś tuż obok niego porusza, jakby człowiek jaki, płaszczem niewidzialności ukryty. Wstaje; z nim wstaje także druga osoba. Zwraca się ku niej; ona również się zwraca, trzymając się wciąż przy prawem jego ramieniu. Kapitan staje nieporuszony, przekręca twarz w prawą stronę i patrząc ukosem, ogląda — samego siebie w jak najwierniejszym dublecie. Druga ta własna osoba była tylko nie w mundurze, lecz we fraku. Przerażon, opuszcza mieszkanie, lecz przeklęty sobowtór towarzyszy mu ciągle. Dopiero po dłuższej godzinie opuścił go sam dobrowolnie.

Nazajutrz, również zmrokiem, ukazał się znowu sobowtór i prześladował kapitana. Toż samo stało się po wszystkie dni następne. Gość ten ukazywał się coraz śmielszym, bo objawiał się codziennie widoczniej, a chodząc, pukał wyraźnie butami. Haerdteek odtąd był bladym i chorowitym. Powierzyć utrapienia swego nikomu nieśmiały, wiedząc dobrze, iżby przez to wystawił się tylko na żarty i szyderstwo. Wtem przychodzi pozwolenie królewskie na zaślubiny. Jako człowiek rzetelny i sumienny, uważał za obowiązek odkryć stan swój przed ojcem oblubienicy. Od niego, jak przewidywał, otrzymał wkrótce list z odmową, albowiem panna, dowiedziawszy się o sobowtórze przyszłego małżonka, przeraziła się okropnie i uspokoić jej zabobonnej twrogi niepodobna było.

Ponieważ równie kapitan, jak jego oblubienica, pochodzili ze znakomitego rodu i byli ludźmi bogatemi, więc w całym mieście mówiono od dawna o ich małżeństwie. Wieść o zer-

waniu tego związku, zrobiła zatem nadzwyczajne wrażenie. Officerowie obrazili się na ojca panny, w mniemaniu, że on, napisawszy list ów odmowny, był tak haniebnego obrotu rzeczy przyczyną, i wyzwalili go na pojedynek. Kapitan, broniąc ojca swjej kochanki, brał całą winę na siebie. Officerowie napierali na niego, aby odsłonił im powód właściwy, niechcąc inaczej mu wierzyć. Przyrzekł im przeto, odkryć tajemnicę półkownikowi; co też i uczynił. Ten radził mu udać się do lekarzy, a na jego prośbę uspokoił officerów, dając za powód pewną nieznosną chorobę duszy.

Kapitan, idąc za przepisem lekarzy, wziął urlop, przedłużył go później kilkakroć, odwiedzał różne zimne i gorące kąpiele, odprawiał podróże, bywał w wesołych towarzystwach, lecz choć rok przeszło upłynął, nie to mu niepomogło. Jego zdrowie okazywało się coraz w gorszym stanie. Półkownik, lękając się, ażeby sobowtór, zgodnie z wiarą pospółstwa, niestał się rzeczywiście zabójcą jego przyjaciela, i przypomniawszy sobie dawną przypadkową znajomość pewnego filozofa, do którego pówziął pod względem rzeczy przechodzących ludzki rozum wysokie zaufanie, a który był Nadgórnikiem i zwał się Mohrlandem, napisał list do niego, s prośbą o pomoc. — Wkrótce otrzymał następną odpowiedź:

„Stan przyjaciela Pańskiego jest nadzwyczajny, dla tego też poradzić mu zwyczajni lekarze niemogą. Przyczyną stanu tego była zbyt sumiennosc kapitana, przywodząca go do fałszywego przekonania, iż niepodobna zjednoczyć istoty lepszego człowieka z żołnierzem. Walka wewnętrzna stąd wynikająca, rozdarła jego jaźń na dwie przeciwne sobie jaźni, t. j. na właściwego człowieka i żołnierza. Dwie te jaźni nosił on naprzód w samym sobie i widział między niemi różnicę w myśli, oraz uczuciu; później, skłoniwszy się do pozostania żołnierzem, jedna w nim pozostała, a druga z niego wystąpiła, przybrawszy widoczną postać. Jego ży-

wot wewnętrzny był tak potężny, iż uzmysłowił i urzeczywistił jedną stronę duchowej swęj walki. Cierpienie wewnętrzne przeistoczyło się w cierpienie zewnętrzne, nietracąc w niczem swęj właściwości i natury. Dwie te, dziś obce sobie istoty, gonią za swem zjednoczeniem, lecz stwórca ich, t. j. kapitan, niedozwala im tego. Pozdrów Pan przyjaciela swego odemnie, i racz mu oświadczyć, co następuje: Niech stara się ze swym towarzyszem nieproszonym i nieznosnym zabrać bliższą znajomość, tudzież wejść z nim w jak najpoufalszy stosunek, gdyż towarzysz ten jest człowiekiem właściwym, dawnym ulubieńcem jego duszy, który dziś rosł się z żołnierzem, lecz opuścić go niechce; niech przestanie go nienawidzić, a zacznie kochać, jak samego siebie, słowem, niech zjednoczy się z nim zupełnie, a zniknie choroba. Skoro sobowtór powróci w jego ciało, stanie się on dopiero istnie doskonałym człowiekiem, albowiem będzie to znakiem, iż przeświadczył się nareszcie, że człowieczeństwo właściwe nieodpycha od siebie żadnego stanu i niejest przywiązane do sukni, lecz że wszędzie tam się znajduje, gdzie żywot wewnętrzny, umie się uwolnić od zewnętrznego świata, albo raczej nadać światu temu prawa myślenia, działania i przekonania swego; że formy pozostają li jako formy święte, człowiek zaś nawet w nich działać może swobodnie, jeżeli nie został martwym automatem. Trzeba, ażeby kapitan przeniósł właściwego człowieka w żołnierza, i jako człowiek właściwy kierował myślą, mową i ręką żołnierską, a będzie zdrów. Skoro przyjaciel Pański zastanowi się nad treścią listu tego, sam przyzna mi słusność. Rada moja skutkować niebędzie li wtedy, gdy niepójdzie za nią również sumienie, jak szedł za własnymi myślami, które sprawiły rozbrat w jego istocie. Taż sama siła, co wywołała sobowtóra, potrafi go i oddalić, ale odwrócić ją potrzeba. Dawniej była w kapitanie nienawiść żołnierza, a miłość właściwego człowieka; teraz okazała się w nim nienawiść

ku właściwemu człowiekowi, który stał się sobowtorem. Należy więc ukochać żołnierza, jak niegdyś właściwego człowieka, i pogodzić się z lubym sobowtorem, czyli przyjść s samym sobą do całkowitej zgody i jaźniowej równowagi.“

Kapitan przeczytał list Mohrlanda z uwagą i uznawszy słusność uczynionego sobie zarzutu, uczuł się już wewnętrznie zdrowszym. Odtąd, gdy sobowtór stanął przed nim, nielekał się go wcale, lecz i owszem, kochał go, jako lepszą swą istotę, która rozbudziła w nim żywot wewnętrzny. Spostrzegłszy sobowtór taką przyjaźń, opuścił bok jego prawy i stanął przed nim, patrząc mu oko w oko. Później, — rzecz znówu osobliwa, — kapitan czuł, myślił i mówił, nie w samym sobie, lecz we swym sobowtórce. Wreszcie czuł, myślił i mówił raz w sobie, drugiraz w nim, wedle upodobania. W końcu końców, gdy chciał, sobowtór pokazał się mu natiychmiast, i na jego skinienie wstępował na powrót w jego ciało. Słowem, dwie istoty stały się jedną istotą, a on był mistrzem równie jedni, jak różni własnej.

Doświadczając rzeczy takich, rzekł kapitan do siebie: „Rostworzyło się oko me niecielesne i widzę cuda, których niedojrzy żaden mędrzec; widzę żywot wewnętrzny, świat boski, wieczny, istotny. Człowiek jest w jądrze swem nadziemskiej natury i przekona się o tem, rozbudziwszy w sobie, jak ja, życie nadziemskie. Inaczej będzie trupem, choćby posiadał najwyborniejsze teorye światowej nauki. Jestem na drodze rzeczywistego poznania i wędruję do świątyni prawdy. Stąd też za najpierwszy obowiązek uważam, podziękować za pośrednictwo pólkownikowi i rzucić się w ramiona jego przyjaciela, który mię wyleczył, prosząc go zarazem, aby chciał zrobić mię swym uczniem.“ — Co przedsięwziął, to i wykonał. Po krótkim czasie nowęj nauki widział na żywe oczy Boga, aniołów i inne istoty niebiańskie, a to tak doskonale, jak niegdyś sobowtóra, czytał w przyszłości i znał przeszłość tak dalece, że umiał

tam mówić, gdzie milczeć musi filozofia i historia. —

3. Opętana.

Karolina Ruppert, jedyna córka wysokiego urzędnika i dość majątnego człowieka, wychowaną była od matki swęj nader bogobojnie. Marzyła wciąż o królestwie niebieskiem, o słodkim imieniu Jezus, o matce najświętszej itp.; modliła się od ranka do nocy; a źli ludzie mówili: „Jaka matula, taka i córula; obie są zagorzałemi dewotkami.“ Ojcu niepodobala się w końcu ta bigoterya. Chcąc przynajmniej córkę od niej uwolnić, postarał się o posadę w stołecznem mieście, zaczął dawać balety i wprowadził dziewczynę na salony wyższego świata. Karolina miała naówczas lat piętnaście. Była piękna, jak anioł, wykształcona, jak jedna z Muz greckich, grała na pantalonie i śpiewała tak, że nikt z nią mierzyć się nieśmiały, a gdy tańczyć zaczęła, zdawało się wszystkim, iż widzą przed sobą boginią wdzięków. Ze będzicie jedyną dziedziczką bogatego ojca, i że ojciec ten, jako urzędnik wysoki, zięcia swego wnet na dostojny stopień wyniesie, wiedzano o tem powszechnie. Cóż więc dziwnego, że przy takich okolicznościach wystąpienie Karoliny w salonach było świetne? Rzekł ktoś: Niebianka, huryska z rajy Machometa, ukazała się między ziemiankami i zajaśniała wśród nich, jako słońce. Zdanie to powtarzano po całym mieście. Młodzież męska sypała jej krocie pochlebstw, wyprawiała serenady pod jej oknem, wieńczyła łożę jej teatralną różami i fiołkami. Dwu lub trzech paniczów spojrzawszy na nią, dostało obłąkania, a co kilka tygodni odbył się na jej cześć pojedynek. Malarz błagał ojca, aby pozwolił mu oblicze córki przenieść na płótno, na którym wywoływał do bytu madonnę, i wnet widziano twarz powszechnie znaną w kościele w głównym ołtarzu. Karolina była niewinna; lecz holdy tego rodzaju podobają się każdej niewieście. Została

przeto płochą, prózną, za tryumfami goniącą. Z bogobojnej dewotki zrobiła się światową wiestrznicą, i dla uciech ziemi zapomniała nieba.

Matka, która od ostatniego nieszczęśliwego pologu odzyskać zdrowia niemogła, a później utratą dwojga starszych dzieci w jednym tygodniu sparaliżowaną była równie na duszy, jak na ciele, która właśnie z tych powodów odznaczała się drażliwością nadzwyczajną, patrząc na Karolinę, służącą tak pilnie mamonie, martwiła się w głębi serca. Łajała córkę za to, że częściej bywa na balu, niż w kościele; że idzie wystrojona przed ołtarze Boga, jak gdyby szła do teatru; że tak postępując, utraci wieczne zbawienie. Ojciec bronił zawsze swęj ukochanej jedynaczki, odzywając się do matki, iż wymyśla dziwactwa; że zapomniła o tem, czem sama była w młodości; iż jako chora, lepiejby zrobiła, myśląc o własnem zdrowiu, nie zaś kłopotąc się wcale niepotrzebnie; iż widzi wszystko w kolorach do dzisiejszego cierpiącego jej stanu podobnych. Między oicem a matką zachodziły co chwila najnieprzyjemniejsze sceny. Karolina trzymała, jak naturalna, z ojcem, a matka chorowita trując się własną żółcią, zbliżała się szybko do przedwczesnego grobu. Ze niknie na siłach i wędnieje widocznie, nikt tego nie spostrzegał, bo córka zajęła się zbyt światem, a ojciec córką.

Nieszczęśliwy stosunek domowy, który opisaliśmy właśnie, zbliżał się szybko do końca, i brakło li ostatecznego ciosu dla matki, jakoż nadszedł. Syn prezydenta stolicy pokochał się w Karolinie, i porzucił dla niej dawniejszą swą oblubienicę. Już ogłoszono w kościele jego zapowiedzi; już gotował się iść przed ołtarz ślubny; w tem — ujrzał Karolinę i porzucił swą narzeczoną. Wypadek ten pochlebiał próżnej Karolinie i lekkomyslnemu jej ojcu. Był to dla nich tryumf nad tryumfami. Ale matka, dowiedziawszy się o tem, zemdliała. Syn prezydenta zaczął uczęszczać do domu Rupprechtów i potrafił wnet wzniecić w sercu Karoliny miłość istotną.

Była to miłość jej najpierwsza. Matka nieprzypuszciała go nigdy do siebie, a zawoławszy córkę, tak do niej prawila: „Karusiu, rzucasz się bezmyślnie w przepaść własnego nieszczęścia i utracasz wieczne zbawienie. Syn prezydenta jest młokosem bez charakteru i niegodzien wiary, bo nieporzuciłby tak snadno swój dawniejszej kochanki. Lekce więc ważyć będzie i te przysięgi, które tobie uczyni. Opuści Cię, jak tamtę opuścił, skoro znowu ujrzy świeżą urodę. Ja Ci to przepowiadam. On wietrznik, motyl. A choćby i dotrzymał słowa, nieuszcześliwi Cię, bo rządzi nim nie religia, lecz zmysłowa namiętność. Wreszcie, czy chcesz być przedmiotem nienawiści dla innej kobiety? Rospacz tej nieszczęśliwej ofiary wgryzie się, jak robak, w twoje sumienie, a łzy jej spłyną w kielich goryczy dla twojego serca i niedozwolą Ci zasnąć. Proszę Cię, błagam i zaklinam, zerwij ten stosunek, a jeżeli niechcesz dobrowolnie, — roskazuję Ci, jako matka!”

Karolina przyrzekła na pozór posłuszeństwo, wiedząc dobrze, iż ojciec inaczej rozporządzi i że wszystko pójdzie wedle jej myśli. Jakoż tak się stało. Syn prezydenta bywał w domu, kryjąc się przed matką. Wesele nastąpić miało po śmierci matki, której spodziewano się w rychłe. — Matka pomiarkowawszy, co się święci, zaprosiła ojca i córkę do siebie. Patrząc na nich oczyma zapłakanemi, rzekła głosem uroczystym: „Oszukujecie mnie po pogańsku i pragniecie zgolić najspieszniejszej mej śmierci. O, czuję, czuję jak najboleśniej, co to jest niebyć kochaną od męża i własnej córki! Czuję, iż wam jestem nieznosnym ciężarem! Dobrze! Bóg modłów mych wysłuchał. Za trzy dni już mię tu niebędzie. Odprawcie wesele na moich marach. Lecz nie, on wietrznik, on cię wnet opuści! Za cierpienia, które mi sprawiliście, czeka was ciężka kara. Ja wam przebaczam, i prosić będę Boga, ażeby mieć raczył w sprawiedliwości swej miłosierdzie. Bądźcie zdrowi i żyćie długo, a jeśli podobna, szczęśliwi!” — Ledwie, że wy-

mówiła te słowa, paraliż ją ruszył. Paraliż uderzył po paraliżu, i po trzech dniach zamknęła oczy na wieki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Spis dzieł wyszłych w Wielkiem Księstwie poznańskiem w roku 1843.

przez Z.

4. Pisma peryodyczne.

1. Orędownik.¹⁾

2. Tygodnik poznański. Pismo to obiegłszy drukarnie W. X. Poznańskiego i Śląska, powróciło na schyłku roku 1843. do swojej kolebki, i odtąd wychodzi znowu w drukarni Deckera i Spółki w Poznaniu. W bardzo nieregularnie, tedyś owedyś, wynurzających się z kąsis numerach, zajmowało się niemal wyłącznie postępem i reformami socyalnemi i religijnemi à la J. W. Gienialna ta, jak nam Panowie D. i D. powiadają, autorka umieściła w niem między innemi ważny niezmiernie wywód historyczny: dla czego w Wielkiem Księstwie poznańskiem sprawa postępu nieodniosła spodziewanych korzyści, owszem tryumfu nad nieprzyjaciółmi postępu Pani J. W. (i w tem zadaje oczywiście fałsz P. D, głoszącemu w łszym zeszytce roku 1844., że wszystkie wrogi postępu zwyciężone, u nóg jego leżą). Z tego wyvodu dowiadujemy się, że niepowiedzenie się wyprawy Sancho Pancho i Dulcinei przeciw wiatrakom, przypisać należy jedynie Panu M., który jakimś wahaniem się i kierowaniem z za kulisów, (zamiast stawienia się odważnie na czele falang postępowych), mogąc zbawić sprawę postępu, a tem samem naród, owszem cały ród ludzki, dozwolił przeciwnikom wydrzeć sobie z słabej dłoni berło, i naraził postęp w W. X. poznańskiem na szwank niepożądany. O ten zły człowiek, o der böse Mann Herr von Mo.! powiedziałaby poczciwy pisarz niemiecki Gellert.

3. Dziennik domowy. Mówią: złe towarzystwo, psuje najlepsze. Otóż i nasz Dziennik domowy zetknawszy się w r. 1843. w jednej typografii z Tygodnikiem, przejął natychmiast od niego narowy, zaczął przebąkiwać o postępie à la Julie i njmować się za redakcją Lwówianina.

¹⁾ Redakcyja umieszczając Artykuł Pana Z. bez żadnych uwag, opuszcza sąd jego o Orędowniku. Pan Z. wybacz jej tę miłość macierzyńską dla swego dziecka.

4. Rok 1843. W poszytach kwartalnych zaczęło wychodzić w Poznaniu od 1. Stycznia 1843. nowe pismo peryodyczne pod napisem Rok. Redakcyja Roku przy rozpoczęciu Pisma, zburczała z góry inne Redakcyje, że z braku cywilnej odwagi, umieszczają artykuły anonimowe i w Iszym zaraz Nrze dla okazania swej postępowej wyższości, pełnemi zaimponowała nazwiskami. Wkrótce atoli jako nieznacznie, nietylko wróciła do zganionej w drugich wady, ale nadto, ogłosiwszy w ostatnim zeszyście Pismo swoje za peryodyczne, nie uznała za potrzebę wymienić osoby Redakcyją składające, schowawszy się ostrożnie za księgarnią Pana Kamińskiego. Pictoribus et scetatoribus omnia licent! Pismu temu mielibyśmy wiele do zarzucenia, a między innemi i to, że nie jest polskiem. Zwrotami i składnią obcą zupełnie mowie naszej szkodliwie wpływa na skażenie języka ojczystego w W. X. Poznańskiem, gdzie już i tak przewaga obczyzny nader zgubny wpływ na czystość mowy polskiej wywiera. Nie zajmuje się też przeszłością, hasłem bowiem jego: naprzód! czyli raczej, mówiąc jaśniej, zaczynaj dom stawiać od dachu. Co więcej, redakcyja jego tak mało posiada taktu, że w jednym i tym samym numerze stawia i burzy, jak dziecko domek z kart. Dowodem tego numer I. na rok bieżący. W nim umieściła redakcyja rozsądnie i dobrze napisany artykuł K. Libelta: O miłości Ojczyzny,²⁾ w którym autor uczuł dobrze, że narodowość stanowią i utrzymują: dzieje, język, literatura, oświata, nauka, praca, jedność, rzeczenie się stronnictw i sekcjiarstw itp. Czego też inne pisma oddawna już pilnują, prócz Tygodnika i Roku ważniejszymi kwestyami socyalnymi zajętych. Któżby sądził, prze-

²⁾ Niemasz atoli, jak mówią, nie doskonałego na świecie.... Podobnie się rzecz ma z artykułem Pana L. Utrzymuje on między innemi na stronie 18, że brak stanu średniego kraju żadnego nie zgubił, ani wywołany, narodu żadnego nie zbawi. Plutokratya i owszem w tym stanie się z czasem rozwijająca, wywołuje krajowców z taką miłością ojczyzny, jaka się z materyalnemi ich interesami zgadza. Plutokrata ukochał złoto, którego w łonie ziemi jego niema. Zastrzegając sobie przy zdarzonej sposobności obszerniejszy rozbiór tego absurdum, utać podziwienia mego niemogę, jak mało autor artykułu o Miłości ojczyzny zna historję swojego i obcych narodów, jak mało posiada historycznego doświadczenia, jak niepojmuję, lub pojmuwać niechce natury ludzkiej, tworząc sobie jakąś platoniczną miłość ojczyzny. Gdyby autor rzucił był okiem badawczem na przyczyny upadku ojczyzny naszej, odkryłby je natychmiast w braku stanu średniego, którego drobna szlachta, jako satelity oligarchii zastąpić żadną miarą, nie mogła. Naprzykład w roku 1789. sejm wieki uchwalił powiększenie wojska do stu tysięcy głów. Ludzie byli, ale w braku stanu średniego, to jest rzemieślników, fabrykantów, kupców itd. nie było ani pieniędzy, ani broni itp. Do ślachtet po te potrzeby wojenne nie można było się udać, bo ona, jako stan wyższy, brzydziła się wszelkim przemysłem, i była gołą. Musiano tedy zawrzeć układ i o pożyczkę i o 100,000 karabi-

czytawszy rozprawkę P. Libelta, że redakcyja umieści natychmiast po niej, (opuściwszy atoli stósowną dewizę z Trębeckiego: W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha. — Niechże go kto i czyta, rozumie i słucha) Artykuł jakiegoś niedowarzonego żaka, pod napisem: Sprawozdanie o piśmienności polskiej w ciągu 1842. roku, żaka z pod zaciągu Pani J. nieznanego pierwszych nawet zasad grammatyki ojczystej, usiłującego nieudolnie zburzyć to, co Libelt na poprzednich stronicach postawił. Ramotę jego powinna była redakcyja przekręślić, a jemu za pokutę kazać z dziesięć razy kilka rozdziałów grammatyki Kopczyńskiego przepisać. Przechodząc zaś artykuł, gdy, przedarłszy się przez chaos słów i myśli pomąconych i nie pijetystycznych, doszła do wyrazów: „W Poznaniu niema tyle ruchu, życia ile w Warszawie, bo już złe dążenia zwalczone,“ powinna była natychmiast posłać do autora artykułu cyrulika, aby mu głowę lodem obłożył i krwi upuścił. Byłto chrześciański obowiązek redakcyi Roku. Z całego też artykułu poznać redakcyja Roku mogła, że w mózgu Sprawozdawcy o piśmienności polskiej w ciągu 1842. niema: „podwalin do wzniesienia samodzielnego gmachu wyższego rodzimej filozofii stanowiska, który historję rozwijającą się i wyrabiającą się w niej ideę sprawiedliwości, nakoniec własność, jako posadę stosunków społecznych pojmuje radykalnie, a samodzielnie, który wreszcie ważnego dla filozofii żywiołu twórczości wypowiada znaczenie.“ Mniej jeszcze w tym mózgu znajduje się podwalin nauki. U niego Wiadomość o konfederacyi barskiej (jakkolwiek użyteczna, przecież ułożona tylko z dzieł znanych Ferranda, Rulhiera itd.) jest dziełem ważnem, mającem wiele ważnych

nów z Hollandyą. Pierwsza nie doszła wcale; z drugich dostarczono po kilkuletniej stracie czasu kilkanaście tylko tysięcy w najgorszym gatunku i w najwyższej cenie. Zeby, zaś Rzeczpospolitą transport mniej kosztował, usłudzi sąsiedzi podejmowali od broni zamki i skałki. Gdyby Polska miała była wówczas stan średni, to jest kupców, bankierów, fabrykantów, czyżby nie była zdolna wystawić w oka mgnienia owe sto tysięcy wojska przez ślachtę na papierze uchwalonego? Rozumiem, że ten jeden przykład z dzieł krajowych dostatecznym będzie do zbicia tak mylnego twierdzenia, że naród może się obejść bez klas średnich, przemysłowych.

Co do plutokratyi, jestto marzenie. Rozwija się ona w wszelkich, nie tylko średnich stanach, i może być w każdym zgubną. Czyż nie wkradła się w naszą arystokrację i ślachtę, która szukała złota nie w ziemi, ale w obcych gabinetach? Plutokratya w stanie średnim mniej jest szkodliwą dla kraju, że podstawa, jej jest skrzętność, praca, przemysł; gdy tymczasem plutokratya w stanach wyższych szuka mniej godziwych, szkodliwych dla dobra ogółu źródeł zaspokojenia tej auri sacrae fames.

Przypisek Autora.

faktów i dążenia ludowe. Z ostatnimi i postępem wyjeżdża autor Artykułu O pismienności w r. 1842. ustawicznie na harc przeciw dążeniom pijetystycznym (sic) i arystokratycznym. Nie wiercie mu młodzi czytelnicy! Jestto wilk w baraniej skórze: nie mogąc być pierwszym, a może nawet i ostatnim w arystokracji, stawia w szeregach jęj przeciwników i krzyczy z całego gardła: Niepozwalajmy Panowie Bracia! Oczywiście, że Redakcyja Roku miała zamiar w tym artykule, napisanym jak widać z jej natchnienia, ogłosić najświeższy buletin z odniesionego nad przeciwnikami postępu, przeważnego zwycięstwa, które musiało być świetne, gdy nikt z tego pogromu nie uszedł, co by przynajmniej wieść jaką o niem przyniósł i powiedział, na jakich to polach tak chlubnemi okryła się wawrzyny. Żałuję mocno, że mi się nie udało znikąd zasięgnąć bliższej wiadomości o tak ważnej epoce w dziejach naszej oświaty, która na raz podniosła postępową Redakcyję Roku, na sam szczyt całej naukowej dziedziny, iż teraz z litością spoglądać może na takich obскурantów, jakimi są: Kraszewski, Autor Pamiętników Soplicy, Wojcicki, Maciejowski, Wiszniewski, Trentowski itd. Wdzięczność się przeto należy skrzętej Redakcyi, że się przecie sama zajęła ogłoszeniem swych dzieł wiekopomnej pamięci. Autor artykułu Pan D. położył wprawdzie na szalę przewagi poznańskiego postępu i Pieśń o Ziemi naszej, lecz gdy ta żadnym prawem do niego nie należy; pozostanie się tedy cały zaszczyt tego niesłychanego zwycięstwa przy Redakcyi Roku, którego znowu naturalnym porządkiem rzeczy przednia część spada na nowo zaciągniętego trębacza, i przy Filozofii Ekonomii Materyjalnej, jako drugim najważniejszym postępowym zjawisku.

Wypadek ten nadzwyczajny jest tym dziwniejszy w dziejach świata, gdy natarcie głównego korpusu Rokowego nie najchętniej było wykonane, jak to sama jeniałna Redaktorka Tygodnika, (który nie wiedzieć dla czego popadł teraz w niełaskę u ludzi postępowych) ubóstwiana przez Pana D., jako główna promotorka poznańskiego postępu w gorzkiej prawdzie wyrzec o nim musiała. Naczelną Redakcyję Roku wyznaje dobroduszenie, że zarzut mający tak wielką powagę, jest słusznym, obiecuje przeto potulnie poprawę, skoro znajdzie więcej, jak dotąd współpracowników (patrz Przypis na kar. 74 roku 1844.)

Teraz następuje najpocieszniesze samego Pana D. wyznanie. Wiecie też Szanowni Czytelnicy, jakie to są owoce tego wiekopomnego zwycięstwa stronnictwa postępowego? Może utworzenie jakiej sekty radykalnej, lub eksperymencik socyalny, a la Fourier, lub Père Enfantin, gdzieby głoszone po pismach zasady, mogły przejść próbę swęj użyteczności w życiu społecznem? Mylicie się bardzo. Może odkryli jaki nowy system naukowy? I to nie, wszakże wiecie, że w ich przekonaniu zatrudnienia naukowe są zbyt blahe nie mające celu ludowego. Cóż więc jest owym olbrzymim rezultatem, który z taką dla siebie wywalczyli chwałą? Słuchajcie Autora artykułu, on wam najlepiej zagadkę tę rozwiąże.

• W Wielkopolsce obojętność (!) i jakoby martwość (!!) literatury (acute dictum) razi na pierwszy; aleć inaczey być nie może tam, gdzie już zasady zwyciężyły stałe. Pozorna (?) martwość literatury jest właściwie zupełnem zwyciężstwem zasad postępowych, str. 60, Rok 1844. zeszyt I.

Pytam się teraz was wszystkich, co to trąbicie nieustannie postęp! postęp! tenże to jest ostateczny cel waszych tak nazwanych ludowych dążeń, aby zobojętnieć i zmartwieć dla literatury i nauki, jak to w imieniu waszem P. D. ogłasza? lub też, co do prawdy podobniejszą, wasz zaślepiony żądzą sławy szlachetny rycerz z la Manszy z swym wiernym giermkim Szanso Pansą w owem nieustraszonem natarciu na wiatraki, dostał może śmigą w mózgownicę, i dla tego plecie teraz takie smalone duby i marzy o jakichś zwycięstwach, z których uwiwszy laury, tłoczy je na skronie Naczelnę Redakcyję Roku zapewne za to, że i ona wtenczas kopije o owe wiatraki kruszyła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowiny literackie z Warszawy.

Zmichowska, znana pod Pseudonymem Gabryelli, jedna z najpierwszych talentów poetycznych w Warszawie, umieściła w Iszym Nrze tegorocznego Przeglądu Naukowego, śliczne ustępy 2 z Gęślarza. Przegląd więc, chwala Bogu, wychodzić będzie i na rok trzeci.

OREDOWNIK wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata półroczna wynosi 9 Złtp. Prenumeratę na Oredownik przyjmuje tylko **KSIĘGARNIA NOWA** i wszystkie król. pocztamty.

Redakcyja Oredownika: **A. Popliński, J. Łukasiewicz.**